

# Jarosław Kurczyn

---

## Wspomnienia z lat 1918-1921

---

Niepodległość i Pamięć 11/1 (20), 213-226

---

2004

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jarosław Kurczyn

### Wspomnienia z lat 1918-1921

W 1918 roku, tzn. w piątym roku wojny, zbliżał się czas, że miałem wziąć w niej czynny udział. W POW<sup>1</sup> praca dochodziła do największego napięcia, w nocy odbywaliśmy ćwiczenia, w dzień wykłady. Mielśmy kilka zbrojowni. Wszyscy czuliśmy, że Niemcy słabną i gonią resztkami.

Pamiętam w październiku w Katedrze miało się odbyć nabożeństwo z powodu smartwychwstania Polski<sup>2</sup>; zebrał się 20.000 tłum na placu Katedralnym i miał ruszyć pochód, lecz Niemcy pochód rozprędzili, dając kilka salw i rozpraszając konną policję. Przy tej okazji oberwałem szablą po plecach i nosiłem czerwone pręgi.

Po rewolucji w Niemczech<sup>3</sup> ład i porządek rozpręgły się. Bolszewicy zbliżali się pod Wilno, więc samoobrona Wilna postanowiła bronić, wtedy 28 grudnia [1918] wezwano nas do koszar. 1 stycznia 1919 r. wojska nasze objęły miasto zmuszając Niemców do wycofania się. Z jaką radością chodziło się po ulicach miasta z bronią i jako polski żołnierz. Już 2 stycznia zaczęły się pierwsze potyczki z bolszewikami. Pamiętam, że pierwszy gwizd kul wywarł na mnie silne wrażenie. Zobaczyłem, że wojna to jest coś wielkiego jeżeli potrafi z taką łatwością zabijać ludzi. Jednakże mogłem po sobie nie okazywać nic i kiedy zacząłem sam strzelać, to nie czułem nic już więcej.

Obrona Wilna trwała 5 dni, gdyż 5 stycznia w nocy musieliśmy wycofać się z Wilna pod naciskiem wielkiej siły bolszewickich<sup>4</sup>. Smutno i przykro było wychodzić z miasta bez pożegnania z Rodziną. Wlekliśmy się z Wilna po śniegu, przez pola, lasy w stronę Landwarowa. Zanicowaliśmy w Wace, w pałacu i popaliliśmy meble, poręczę itd., bo zimno było i głodno gdyż od rana nic nie mieliśmy w ustach. Wtedy poznałem pierwszy raz, co to jest głód. Jakoś noc przecierpiało się. Nad ranem Niemcy zgodzili się przewieźć nas w wagonach do Łap do Polski, jednakże bez broni<sup>5</sup>. Kiedy więc oddaliśmy broń, zaczęli Niemcy nas obdzierać z ubrania i butów i ze wszystkiego co

- 
- 1 Polska Organizacja Wojskowa (POW) – tajna organizacja wojskowa, powstała z inspiracji Józefa Piłsudskiego w październiku 1914 r. w Warszawie. Działała w Królestwie Polskim, potem na Ukrainie, w Rosji, Galicji. W grudniu 1918 r. wcielona do WP, na Ukrainie w 1920.
  - 2 Najprawdopodobniej dotyczy mianowania przez Radę Regencyjną rządu Józefa Świeżyńskiego 23 X 1918 r. Dążył on do porozumienia z lewicą niepodległościową, postulował uwolnienie J. Piłsudskiego; sam zaś uważał się za organ władzy przejściowej.
  - 3 Klęska militarna Niemiec spowodowała wzrost nastrojów rewolucyjnych. 3 XII 1918 r. wybuchło powstanie marynarzy w Kiel, potem do 9 XII tr. wystąpienia rewolucyjne ogarnęły cały kraj. Cesarz Wilhelm II abdykował 9 XI, a 11 XI 1918 r. podpisano zawieszenie broni.
  - 4 Wilno zostało zajęte przez Armię Czerwoną 5 I 1919 r. W lutym tr. proklamowano Radziecką Socjalistyczną Republikę Litwy i Białorusi ze stolicą w Wilnie. Istniała do 19 IV 1919 r., do zajęcia miasta przez oddziały polskie dowodzone przez Edwarda Rydza-Śmigłego.
  - 5 Wojska niemieckie zostały rozbrojone jedynie na ziemiach Królestwa Polskiego, na ziemiach b. Cesarstwa Rosyjskiego stacjonowały jeszcze w I kwartale 1919 r. Rozmowy dotyczące ewakuacji wojsk niemieckich sfinalizowano układem białostockim 5 II 1919 r.

kto miał lepszego. Mnie też ściągnęli buty i mundur. Myślałem, że buty razem z nogami zdejmą. Stałem więc boso na śniegu, aż Niemiec przymierzył moje buty. Wreszcie rzucił mi porwane strzępy butów, jakie miał na nogach, nie było co zakładać, ale musiałem. Rzeczywiście byłem owym obywatelem, co szedł w butach i zostawiał bose ślady. W końcu kazano nam iść. Obdarci, głodni, bez broni ruszyliśmy. Niemcy chcieli pod naszą zastoną wejść do polskich linii, lecz kiedy ich zauważono, zaczęli strzelać do polskich placówek i do nas. My skorzystaliśmy z popłochu i dopadliśmy wreszcie swoich. Odwieziono nas do Ostrowia w Łomżyńskim, posadzono do koszar i sformowano Dywizję Litewsko-Białoruską<sup>6</sup>.

Wszystkich uczniów odesłano do skończenia roku do Warszawy. Ulokowano nas w domu izolacyjnym, myto, kapano, lecz jeść dawali tylko jakąś lurę niby zupełną. A gazety warszawskie unosiły się „nad bohaterstwem dzieci wileńskich, które rzuciły dom i rodzinę i poszły walczyć za Ojczyznę. Ponieważ są teraz bezdomnymi, społeczeństwo musi się zająć nimi”. Skończyło się tylko na słowach. Ja z Jankiem Lubońskim zgłosiliśmy się do biura pracy i dano nam rozlepiać afisze po Warszawie. Lepiliśmy zawzięcie na domach, oknach, parkanach i omal że nie na samych warszawiakach. Inni koledzy zamiatali ulice. Ciężko było uczyć się w takich warunkach, lecz jakoś przecierpeliśmy. Kiedy dostałem świadectwo z 6 klasy, zaraz pojechałem do Wilna. Z jakąż radością wyszedłem z pociągu na ulice swego miasta, w którym wyrosłem, gdzie przeżyłem szczęśliwe chwile i zawody.

Zaraz zgłosiłem się do sztabu Frontu prosząc o dokumenty podróży na front, do Dywizji L.B. do Mińskiego p. Strz. Oficer zdziwił się, że chcę jechać na front. „Czyż nie lepiej na tyłach?” Lecz ja rwałem się do walk, przygód i sam nie wiem do czego. Dostyc, że wyjechałem z Wilna i w kilka dni byłem w Baranowiczach. Tam znalazłem Dowództwo Mińsk. p.Strz. i spytałem o Oddział Konnych Wywiadowców Władka. Powiedziano mi, że jest on ranny. Udałem się do niego i kiedy zobaczyłem go rannego, mój animusz trochę osłabł. Bez Władka nie chciałem być w jego oddziale, a on wyjeżdżał do Warszawy do szpitala. Wtedy poszedłem do piechoty do kompanii, gdzie był Staś i porucznik Gędzwiłło. Kompania stała kilkanaście wiorst za Baranowiczami w polu. Trafiłem tak, że na drugi dzień posłano nas na 10-dniowy odpoczynek do Baranowicz. Te 10 dni zeszyły na ćwiczeniach prędko. Jakichś parę zabaw, przelotnych znajomości i znów naprzód. Była to wielka ofensywa na całym froncie. Rezultatem jej było zajęcie Mińska<sup>7</sup> i innych miejscowości.

Pierwszy raz szedłem na front, już jako prawdziwy żołnierz. Mijaliśmy okopy, druty kolczaste, trupów, połamane wozy, działa itd. Był śliczny letni wieczór, wszędzie cisza i spokój, powoli zaczęło się ściemniać, wreszcie nastąpiła noc. Podchodziliśmy z kompanią do linii frontu, odległej o jakieś 3 wiorsty i dziwiłem się, że na froncie taka cisza, nawet przerażająca, lecz była to cisza przed burzą. Noc była zupełnie ciemna. Przeszliśmy jakieś 1,5 wiorsty, minęliśmy nasze rezerwy, gdy wtem przed nami, o parę wiorst rozwidniło się jak w dzień i zaczęły strzelać ku niebu rakiety oświetlając całą okolicę. Zobaczyłem przed nami ogromną górę najeżoną okopami i drutami kolczastymi. Góra była jak Rekieszowa stroma. Zaraz rozległ się trzask karabinów zwykłych i maszynowych, a potem do wtóru co parę chwil wstrząsały cichym nocnym powietrzem armatnie strzały. Ślicznie wygląda błysk ognia, huk, a potem różowy obłoczek w powietrzu – to szrapnele. W pierwszej chwili patrzyłem zdumiony,

6 Dywizja Litewsko-Białoruska powstała formalnie 26 XI 1918 r., jej pierwszym dowódcą został gen. Wacław Iwaszkiewicz, następnym dowódcą był gen. Stanisław Szeptycki (10 III – 20 XII 1919).

7 8 VIII 1919.

tak to wydawało mi się śliczne, pośród cichej letniej nocy i wprost nieprawdopodobne, jakby ktoś podniósł cudowną zasłonę... Lecz kiedy zobaczyłem wspinające się punkciki po tej górze i kiedy uświadomiłem sobie, że to jest walka, że i ja za chwilę będę tam, wśród gwizdu kul, pękających szrapneli, zrozumiałem, co to jest wojna. Lecz to była wojna za Polskę, o którą tyle pokoleń walczyło i zamiast strachu poczułem, że mnie coś rwie naprzód. Niedługo potrzebowaliśmy czekać, bo za kilka minut byliśmy u stóp góry i wraz z 1 batalionem rzuciliśmy się naprzód. Nasi byli o kilkadziesiąt kroków od podnóża góry niszcząc zagrody kolczaste, przeskakując je, zakrywając płaszczami, kocami. Gwizd kul i huk podniecił mnie jak i innych i kiedy padła komenda „naprzód” z krzykiem „hurra”, który odbił się ogromnym echem i zagłuszył na chwilę trzask salw, rzuciliśmy się pod górę. Cały pułk atakował górę. Bolszewicy cofali się, broniąc wstępu na szczyt. Strzelaliśmy już z okopów nieprzyjacielskich. Znowu pada rozkaz „naprzód”, pochylają się bagnety i z piorunującym „hurra” pułk zrywa się na całej linii do ataku, przy światłach rakiet, przy błysku dział i pękających szrapnelach. Zawrzała walka na bagnety i za chwilę cała góra była zajęta. Jeńcy, broń, amunicja i ważna pozycja, były zdobyte. Ruszyliśmy dalej, naprzód. Kiedy stanąłem na szczycie góry, wyszedł zza chmur księżyc. Kilka kompanii ruszyło naprzód, reszta zaś odpoczywała w pobliżu. Ja podniecony pierwszą bitwą poszedłem na brzeg góry i patrzyłem na pole śmierci, po którym rozlewały się blaski księżyca, który odbijał się w kałużach skrzepłej krwi, przeglądał się w martwych źrenicach, oświecał straszne twarze. Straszny widok. Zawróciłem do obozu i położyłem się na ziemi, chcąc zapomnieć o tym strasznym widoku. Długo nie mogłem zasnąć, lecz wreszcie zmęczenie przemoгло. Rano zbudziły mnie promienie słońca. Pogoda była cudna. Po śniadaniu ruszyliśmy znowu naprzód. Już czułem się tak jakbym parę lat przebył na froncie. Czułem energię i chęć zemsty za wczorajsze ofiary, za młode życie skoszone przedwcześnie.

Dalej walki toczyły się koło Zamirja, Mira. Przykrywaliśmy artylerię lub też samodzielnie pełniliśmy wywiady itd. Koło Mira bolszewicki pociąg pancerny szkodził nam bardzo. Wówczas nasza kompania otrzymała zadanie wysadzenia mostu kolejowego w powietrze. Wyruszyliśmy tam w nocy, podeszliśmy ich placówki i trzech ludzi nie wydając okrzyku padło na ziemię. Byliśmy pod mostem. Kilku żołnierzy bagnetami ociekającymi krwią dłużej już otwór pod belką i za chwilę ładunek dynamitu jest ulokowany. Jeszcze chwila i lont pali się. Uciekamy co starczy sił i w końcu padamy na ziemię. Za kilka chwil rozlega się straszny huk, kawałki zaś żelaza, drzewa i kamieni lecą w naszą stronę. Zrywamy się i pędzimy dalej. Byle dopaść do lasu, tam już kule nie dosięgną. Ich gwizd już słychać koło nas. Wreszcie las. Odetchnąłem spokojniej. Wtem słychać łoskot – to do mostu podjechała pancernka bolszewicka i widząc most zniszczony zaczęła zionąć na nasze linie ogniem i żelazem.

Ze śpiewem następnego dnia ruszaliśmy naprzód. Mieliśmy zdobyć Nieśwież. W południe widać już było miasto. Godzina walki i wkraczamy do miasta jako zwycięzcy. Jednakże bolszewicy jeszcze bronili się i walka toczyła się na ulicach miasta do wieczora i rozlegały się salwy karabinowe, krzyk oraz huk ręcznych granatów. Przy łunach palącego się miasta postacie żołnierzy wyglądały jak upiory. Płomień odbijał się na bagnetach purpurą krwi. Straszna jest walka w mieście. Nie ma tam już zmiłowania, nie biorą jeńców – życie za życie.

Wreszcie wyruszyliśmy z Nieświeża na Kleck. Pamiętam w polu stojąc na placówkach, byliśmy zaniepokojeni tym, że linia telefoniczna z centralą została uszkodzona. To samo stało się z telefonem kompanii obok nas. Jeszcze więcej zaniepokoił się,

kiedy w parę godzin przyszedł batalion wojska do nas pytając, co z nami jest. Wyjaśniło się wreszcie wszystko. W wiosce, gdzie była centrala telefoniczna, mieszkał Żyd karczmarz i służył u niego mały chłopak 15 lat. Otóż chłopak ów, namówiony przez Żyda, za co dostawał cukierki, chodził do centrali i słuchał co mówią z frontu i na front, potem powtarzał to Żydowi. Kiedy zaś Żyd się dowiedział, że szykuje się ofensywa – kazał chłopcu porwać linie telefoniczne, co ten uczynił, lecz złapany na gorącym uczynku przyznał się do wszystkiego. Odbył się sąd polowy i Żyda rozstrzelano, chłopcu zaś darowano winę.

Koło Klecka miałem nieprzyjemną przygodę. Mianowicie kiedy wracałem z patrolu, nasze placówki wzięły mnie z plutonem za nieprzyjaciela i przywitały nas ogniem, który trwał kilkanaście minut. My też już wzięliśmy ich za bolszewików i dopiero podczas przebiegania poznali w nas swoich i zaprzestali ognia. Byłem poprostu wściekły. Prawie pół godziny leżeć w błocie i psuć naboje, strzelając nawzajem do siebie. Szczęście, że nie było żadnych strat. Samo miasteczko Kleck zajęliśmy łatwo i bez wielkich strat. Nie obyło się naturalnie bez walki i ofiar. Stąd ruszyliśmy na Słuck.

Silne wrażenie wywarło na mnie zajęcie Słucka. Walka toczyła się o pół kilometra od miasta i ze zmiennym szczęściem, gdyż bronili się marynarze i oddziały komunistyczne bardzo zawzięcie i odważnie. Jednakże ataku naszego jak huragan nie mogli wytrzymać. Już potem słyszałem od jeńców, że ataku polskiej piechoty i kawalerii bolszewicy boją się i nie mogą wytrzymać długo.

Ze śpiewem „Rozkwitały pęki białych róż” wchodził nasz batalion do miasta główną ulicą, przy końcu której, a pośrodku miasta, był szeroki rynek. Wchodziliśmy właśnie na rynek, gdy wtem zaczął trzeszczeć swoje „da, da, da” bolszewicki kulomiot. Śpiewaliśmy wtedy „Jasieńkowi nic nie trzeba już, tam pod Słuckiem gdzie w ataku padł, rośnie na mogile białej róży kwiat”. Padła komenda: „W tyraliery”, „Padnij” i „Ognia”. Leżąc na bruku z brzoza rynku strzelamy do okien domów, gdzie pozamykali się bolszewicy. Ci sądząc, że nie mamy karabinów maszynowych i że jest nas mało – powoli zmniejszają ogień i na dziedzińcach domów szykują się do szturmu, by wyprzeć nas z miasta. Pada komenda „Bagnet na broń” i gromkie „Hurra” podrywa batalion do ataku w szalonym pędzie. W okamgnieniu jesteśmy na drugim końcu rynku i już mało nam szkoda strzały bolszewików. Tylko kilku pozostało na bruku zabitych lub rannych. Walka toczy się na bagnety w dziedzińcach domów. Słychać „Tawariszcz, nie ubiawaj”, lecz za jedno słowo „tawariszcz” muszą płacić życiem. Litości nie ma w niczym sercu. Wreszcie zostaje garstka jeńców. Rozkaz „zbiórka” otrzeźwia nas. Za parę chwil maszerujemy śpiewając dalej przerwana piosenkę, której słowa niestety dla niektórych sprawdziły się. Tam pod Słuckiem niejeden w ataku padł, lecz niestety nie zakwitnie mu na grobie białej róży kwiat. Ludność dziwiła się temu hartowi żołnierza, który kończy piosenkę, przerwana śmiercią kolegów i walką.

W Słucku zaprzęgnięto nas do budowy linii obronnych. Potem zaś budowaliśmy przejazd dla artylerii. Pracowało przy budowie wielu mieszkańców miasta i wsi. Mieliśmy tę przyjemność, że który Żyd źle pracował, to rzucono go z mostu do wody. Po odparciu ataków bolszewickich przystępowaliśmy do pracy znów, pracując pod ogniem nieprzyjacielskim. Wreszcie artyleria przeprawiła się i znów poszliśmy naprzód. Walka w tym czasie była niewygodną i niebezpieczną przez to, że w polach było pełno zboża i łatwo można było podejść placówki. Stojąc raz o kilkadziesiąt kroków od ładu zboża na placówce z kulomiotem, byliśmy zaatakowani przez bolszewików, którzy podpełzli zbożem i po oddaniu salwy rzucili się na bagnety. Tak byliśmy zaskoczeni, że nikt prawie nie myślał o obronie, czując, że będzie ona bezskuteczna.

Jeden podoficer, który siedział przy maszynie, krzyknął „padnij” i zaczął siec do nieprzyjaciela. To nas otrzeźwiło, zaledwie kilku ludzi z bolszewików zdołało ujsć. Reszta była zabita lub ranna, czy też poddała się do niewoli.

Zaraz potem zajęte były Stare Drogi, gdzie odpoczęliśmy tydzień. Staliśmy wówczas za miastem, znów na placówkach, ale już jako pierwsza rezerwa. Ja ze swoim plutonem (gdyż za ofensywę na Nieśwież, Kleck i Stuck zostałem mianowany plutonowym)<sup>8</sup> ulokowałem we dworze w majątku Hłusza. Ogromny, stary dwór bez okien, drzwi, zniszczony. Naniesiono mi siana, słomy i miałem dobre posłanie. W nocy zbudziłem się czując, że ktoś dotknął mi do twarzy jakby ręką. Myśląc, że to pod wpływem zmęczenia zdaje mi się, spokojnie leżałem. Wtem słyszę i czuję najwyraźniej, że ktoś dotknął mi nóg przez koldrę. Łapię rewolwer w rękę, pytam, „kto tam”. Nic. Żadnej odpowiedzi. Wtedy nie namyślając się i myśląc, że mam przed sobą człowieka oraz znając wypadki, że często żołnierze ginęli mordowani podczas snu, strzelałem w stronę skąd spodziewałem się napadu. Na huk strzałów wpadli żołnierze ze światłem, z karabinami w rękę, gotowi roznieść na bagnietach wroga, gdy okazało się, że to mieszkaniec dworu nietoperz lokował się do snu.

Zdarzył się potem następujący wypadek: w rzece utopił się jakiś żołnierz Żyd i ciało wypłynęło w tym miejscu, gdzie staliśmy. Postanowione było przez Dowódcę Batalionu, że ja z plutonem żołnierzy mam pochować żołnierza z honorami wojskowymi. Jednym słowem byłem mistrzem ceremonii, kroczyłem na czele plutonu przed wozem ze zwłokami. Całe miasteczko wybiegło patrzeć. Żydzi nigdy nie spodziewali się, że ich współrodaka będą tak chować i dawać trzy salwy nad grobem. Te salwy to ich trochę przestraszyły, ale w ogóle byli strasznie zadowoleni i gościnnie podejmowali mnie obiadem po skończonym pogrzebie. W tym czasie władowano całą Dywizję do pociągów i powieziono. Mówili nam, że jedziemy na odpoczynek do Mińska lub Wilna.

Jednakże okazało się to nieprawdą, bo zawieziono nas do Mińska, lecz zaraz potem do Lidy, gdzie doszło do strzelaniny z żandarmami. Stamtąd zaś rzucono nas pod Parafianów, gdzie bolszewikom udało się przełamać młode pułki dywizji krakowskich. Wyjeżdżając z Parafianowa spotkaliśmy wracających z frontu w nieładzie rozbitków, którzy widząc nas jadących ze śpiewem na front, wołali: „Śpiewajcie, bolszewicy wam lepiej zaśpiewają”. Jednakże to nie wywierało na nas najmniejszego wpływu, śmialiśmy się tylko z ich strachu. Po wysadzeniu nas o parę stacji za Parafianowem od razu z wagonów ruszyliśmy do ataku, odrzucając bolszewików na ich poprzednie pozycje. Nad ranem przyjechał cały nasz pułk i było już łżej.

W tym czasie przyszedł rozkaz odkomenderujący Stasia na pociąg pancerny „Śmiały”. Ja zaś byłem z pułku wyznaczony do Szkoły Podchorążych Saperów i Wojsk Technicznych do Warszawy. Kiedy Staś wyjeżdżał, postanowiłem rzucić piechotę ijechać z nim na pancerkę. Stałem do raportu, prosząc o przeniesienie, lecz dowódca pułku nie chciał mnie puścić, tłumacząc się brakiem podoficerów i tym, że jestem wyznaczony do Szkoły Podchorążych. Wreszcie na usilne prośby Stasia i kilku oficerów zgodził się.

Tak więc 25 października 1919 zostawiłem Miński Pułk Strzelców i pojechałem na pociąg pancerny „Śmiały”, który stał wówczas w Lidzie na odpoczynku. Po przyjeździe na pancerkę dostaliśmy przydział do artylerii załogi. „Śmiały” wywarł na mnie imponujące wrażenie swą baterią dział, 27 karabinami maszynowymi i minerkami. Załoga składała się z: artylerii, piechoty, saperów, kompanii karabinów maszynowych, telefo-

<sup>8</sup> Ofensywa rozpoczęła się w lipcu i trwała do początku września 1919 r. Jarosław Kurczyn został mianowany plutonowym 17 VIII 1919.

nistów, wojsk kolejowych, szewców, krawców, kucharzy, maszynistów itd. Jeszcze będąc w piechocie czułem szacunek dla pancerek, bo nieraz miałem okazję być pod ich ogniem i wiać.

Jakiś czas uczyłem się sztuki strzelania i po skończeniu kursu zostałem komendantem działa „Maryśka”. Życie na pociągu jest świetne. Każdy oficer i podoficer miał swój przedział w wagonach I – II klasy, tak zwane „separatki”. Jest światło elektryczne, ogrzewa para, biblioteka itd.

Niedługo staliśmy w Lidzie, bo wysłano nas do Bobrujska. Jechaliśmy przez Wilno, lecz nie miałem czasu wyjść do miasta, bo lecieliśmy, jak u nas mówiono, „na zбиты лѣб”, 100 wiorst na godzinę. W Bobrujsku dowiedzieliśmy się, że mamy operować na linii Bobrujsk – Ratmirowicze (60 wiorst). Jednakże linia ta była zajęta przez bolszewików i ponieważ leżała w błotach, więc tylko pociąg pancerny mógł coś zrobić.

Dopiero po przybyciu na pociąg przekonałem się, że tam gorzej niż w piechocie. Siedzieć w zimie w żelaznych wagonach od zewnątrz i wewnątrz przy 30° mrozu, bez piecyka (bo nieprzyjaciel mógłby zobaczyć) czasami dobę, zależnie od sytuacji, to więcej niż ciężko. Podczas walki nie czuje się mrozu. Zresztą działo tak się rozgrzewa, że pali ręce. Najgorsze to to, że kiedy pociąg jest ostrzeliwany przez artylerię, nic człowiek nie może poradzić i zrobić, chyba tylko modlić się. W piechocie czy kawalerii w podobnym przypadku przenosi się na inne stanowisko lub wprost wieje się. W pancerce o tyle gorzej, że człowiek nie może nigdzie zwiać, tak jak i pociąg, który jedzie po szynach i przez to łatwiej go ostrzeliwać. A to bardzo przykra rzecz siedzieć w wagonie, raczej w lochu żelaznym i słuchać jak o parę kroków rwą się granaty. Podczas walk z piechotą bolszewicką, jeżeli otworzy się zamek działa, by naładować, to przez lufę padają kule do środka, również przez strzelnicę i tym gorzej, że widząc taki cel jak pancerkę – biją tylko w nią i łatwo mogą trafić do otworów w pancerczu. Do piechoty bolszewikom trudniej strzelać, bo cel przedstawia mały obiekt.

Z początku taka ulewa kul spadająca na nas niepokoiła mnie, lecz dzięki swemu dowódcy przyzwyczaiłem się. Było to tak: widząc, że ja denerwuję się od gwizdu kul, mój dowódca wlaź na wierzch pancercza i zawołał mnie do siebie. Chcąc nie chcąc musiałem pójść, ale wolałbym naturalnie lepiej nie iść. Trudno. Właż więc do niego mimo woli odchylając się słysząc bzyk kul koło głowy. On sobie najspokojniej siedzi i zaczyna wykład o zimnej krwi, spokoju itd. Następnie wyjmuje papierosa i częstuje mnie, mówiąc, że wypalimy tylko i pójdziemy. Nigdy tak prędko nie paliłem jak wtedy i kiedy skończyłem, ten mi jeszcze proponuje drugiego. Kategorycznie odmówiłem i czekałem, aż skończy palić. Potem powoli zeszliśmy. Rzeczywiście to poskutkowało ogromnie, od tego czasu nigdy już nie czułem „boja”.

Tymczasem posuwaliśmy się powoli naprzód zajmując linię kolejową. Pewnego razu bolszewicy podpiłowali most kolejowy i o mało nie wpadliśmy do rzeki. Dowiedzieliśmy się, że ludność z sąsiedniej wioski dostarczyła im pił i siekier, za to bombardowaliśmy wioskę przez godzinę i jak zostały gruzy – odjechaliśmy. Z ochotą jechaliśmy na patrole, bo koło torów moc było uli na drzewach, więc zrzucaliśmy je i jedliśmy miód jak nigdy. Z walk wychodziliśmy zawsze zwycięsko, braliśmy jeńców, zostawialiśmy za sobą trupy.

Święta Bożego Narodzenia i Nowego Roku zeszły nam prędko, nie było czasu na odpoczynek nawet. Ciągłe strzela się i strzela. Kiedy przyjechałem tylko na pancerkę zauważyłem, że wszyscy tam bardzo głośno mówią, wprost krzyczą. Potem nie dziwiłem się, bo trudno rozmawiać normalnie podczas huku 4 dział i 27 maszynek i to w jed-

nym miejscu. Za to kiedy wyrwaliśmy się na parę godzin do miasta, bawiliśmy się do upadłego.

Z wiosną przerzucono nas do Borysowa, gdzie właśnie ukończono reparację mostu i mogliśmy zacząć ofensywę<sup>9</sup>. W Borysowie było gorzej. Miasto leżało o 2 wiorsty od frontu i codziennie było ostrzeliwane. Również lotnicy bolszewicy codziennie rzucali bomby. Istne piekło i to od samego rana. W ogóle tam dopiero zaczęła się praca pancerków, pod osłoną której piechota szła do ataku. Z ich strony była też pancerka i ogromną satysfakcją, jak dla nas, tak dla nich, była walka, a raczej pojedynek między sobą. Już mieliśmy i zabitych i rannych, co dotąd zdarzało się rzadko. Mieliśmy bowiem nieprzyjaciela i z przodu, i z boku, i z tyłu, i z góry, i z dołu. Podkładali nam miny pod szyny kolejowe, rzucali z aeroplanów bomby, ostrzeliwali z artylerii, kulomiotów, atakowali piechotą, kawalerią.

Pewnego razu jedna część bojowa pojechała na front, moja zaś wróciła właśnie – lecz czując, że nadchodzi na mnie chandra, pojechałem na ochotnika. Wyszło to dla mnie bardzo źle, bo akurat koło mojego działa rozerwał się granat i oskołek jego rozerwał mi nogę, raczej wjechał do niej i pokaleczył obie ręce, prawą nawet gorzej. Dopiero wtedy zobaczyłem, że wojna nie jest zabawką, bo mogłoby się skończyć gorzej. Do szpitala nie jechałem, przeleżałem miesiąc w taborze pancerków i już nie mogąc dłużej siedzieć, jeszcze kulejąc i z ręką na temblaku pojechałem znów na front. Sam już nie pracowałem tak i tylko kierowałem ogniem swej „Maryški”.

W tym czasie zdobyliśmy bolszewicki pociąg pancerny cały zapisany „Dołoj Kropijcew Mira”<sup>10</sup>, „Bij burżujew”<sup>11</sup> itd. Kiedy pociąg był w naszych rękach, droga przed nami była otwarta i zaraz też otrzymaliśmy rozkaz jak najdalej wpaść na tyły bolszewików niszcząc wszystko i pałac. Wzięliśmy ze sobą batalion piechoty i pojechaliśmy. Naprzód jechaliśmy łatwo i zajęliśmy Żłobin, który został zbombardowany i spalony. Śliczny i straszny był widok. „Śmiały” jak smok żelazny ziejie ogniem i żelazem i zda się cały pali się od łuny bijącej z resztek pałacego się miasta, wszędzie porozrzucane trupy straszne, obdarte. Tylko tu i ówdzie widać przebiegające postacie żywych, lecz i te prędko padną. Trudno wyjść żywemu z takiego piekła. Jednakże i my ponieśliśmy niemałe straty. Wracając – tor w kilku miejscach był wysadzony, nasyp rozkopany i ustawiona artyleria. Bolszewicy postanowili za wszelką cenę zdobyć pancerkę, która im tyle szkody wyrządziła. Lecz nie darmo pancerka nazywa się „Śmiały”; imię to nadał Naczelnik Państwa za walki pod Lwowem i można z całą pewnością powiedzieć, że dalsze walki dodały tylko blasku. Ponieważ wyjechaliśmy już kilka dni i dotąd nas nie było, nie można też było odbić nas, bo byliśmy 60 wiorst na tyłach, więc napisano o nas, że „pociąg pancerny „Śmiały” po bohaterskich walkach i obronie został odcięty przez bolszewików”.

Rzeczywiście już zaczęliśmy tracić ducha, mało mieliśmy nadziei na to, by przebić się z powrotem do swoich, przy takiej obławie. Jednakże wciąż posuwaliśmy się naprzód, do swoich. Najgorzej było wtedy saperom, bo pod ogniem musieli naprawiać tor, kiedy my spokojnie siedzieliśmy koło swoich dział. Sześć razy niszczyli nam tor, atakowali, lecz wszystko bez skutku. „Śmiały” dumnie posuwał się wśród gradu kul i granatów, jakby urągając wszystkiemu z szeroko rozwierającym się sztandarem na szczycie wieżyczki. Koło naszych linii bolszewicy wysadzili w powietrze mostek

9 Ofensywa pod Borysowem rozpoczęła się w sierpniu 1919 r., samo miasto zostało zdobyte 20 VIII 1919 r.

10 (Ros.) Precz z krwiopicjami świata.

11 (Ros.) Bij burżujów.



kolejowy, rozrzućli nasyp, zdjęli szyny i postanowili nie wypuścić nas ze swoich łap. Kiedy zbliżyliśmy się, całe masy piechoty i nawet co nas śmieszyło – kawalerii, wspierane ogniem artylerii, rzuciły się do ataku z okrzykami wściekłości. „Śmiały” zaczął grzmieć. Trzy godziny trwała obrona i trzy godziny bolszewicy atakowali. Pierwszy raz w życiu widziałem takie stopy trupów. Kilka razy załoga wypadła do szturmowi goniąc nieprzyjaciela. Kiedy nasze wojska zobaczyły, że „Śmiały” wrócił, rzuciły się do ataku i walka znów zawrzała, przechylając zwycięstwo na naszą stronę. Wtedy bolszewicy posłali dwie eskadry aeroplanów, które nie patrząc na własne wojska otaczające nas, zarzucały nas bombami, jeden tylko wagon został uszkodzony. Pod wieczór jeszcze raz próbowali szczęścia i pod osłoną nocy, lecz znów bezskutecznie. Zapadła noc...

Byliśmy, nie wiem, czy więcej głodni, czy wyczerpani, lecz nie mogliśmy wrócić do miasta. Dopiero rano miały być zreperowane szkody, wyrządzone przez bolszewików, to jest naprawiony mostek i tor. Była już północ, księżycowa letnia noc. Całą noc słychać stuk młotów i siekier, krzyki, nawoływania, ktoś szuka między zabitymi bliskiego. A tymczasem na łąkach zielonych w złotym zbożu spali snem nieprzebudzonym i wiecznym żołnierze pocięci, poprzesywani kulami, porozrywani granatami. Księżyc zeszedł i rozpoczął wędrówkę po tym polu śmierci. Odbijał się w kałużach skrzepłej krwi, wydobywał z pomroki z cieniów drzew coraz to nowe stopy poległych, schodził z jednych ciał, wchodził cicho na drugie, przeglądał się w otwartych martwych żenicach, oświecał sine twarze, szczątki potrzaskanych karabinów, trupy końskie – i promienie jego bladły, jakby przerażone tym, co widziały. Gdzieś tam po polu przebiegały chyłkiem pojedyncze postacie jak mary złowrogie – to chęć rabunku zabitych ściga ich. Jak szakale przychodzą po lwach. Lecz jakaś zabobonna bojaźń i strach przed majestatem śmierci spędziła ich w końcu z tego pobojowiska, do niedawna żywej łąki...

Było coś straszliwego i tajemniczego w tym polu, pokrytym trupami, w tym spokoju i nieruchomości żywych niedawno ludzi, w tej cichej zgodzie, w jakiej leżeli obok siebie nasi żołnierze, bolszewicy. Chińczycy, oficerowie i żołnierze, komisarze i prości bolszewicy. Śmierć ich zrównała. Wiatr niekiedy zaszumił w zaroślach, a żołnierzom czuwającym w okopach i na pancerce wydawało się, że to dusze ludzkie unoszą się tak nad ciałami.

Straszno było patrzeć na to pole śmierci. Zawróciłem więc w stronę pancerki. A „Śmiały” stał dumnie na wzgórzu jak symbol wojny, groźny, potężny w swym spokoju, łopocząc na cichym wietrze sztandarem, otoczony ze wszystkich stron trupami. Długo siedziałem w tę noc letnią, tak śliczną i tak straszną zarazem, kryjącą zadość pod swą osłoną czarną całą tajemnicę walki, póki promienie słońca nie zbudzą do życia przyrody oprócz tych, co zasnęły na zawsze. I uwierzyłem w przeznaczenie, bo oto czemuż nie leżę z tymi trupami, czemu żyję i chcę żyć.

W dzień wróciliśmy do Borysowa okrwawieni, czarni, lecz uśmiechnięci, witani entuzjastycznie na dworcu przez wojsko, a nawet ludność, która lubiła nas i uważała za straconych. Orkiestra grała „Jeszcze Polska nie zginęła”. My stanęliśmy wyprężeni przy swych działach, gotowi na każde skinienie wrócić znów. Tylko widać na młodzieńczych twarzach ślady walk z nieprzyjacielem i ze snem, który owija wszystkich nas subtelną pajęczyną. Jednakże na podziękowanie dowódcy brygady Zymierskiego, na jego słowa oceniające nasz czyn, zda się jeden głos odpowiada: „Ku chwale Ojczyzny”. Wśród dźwięków marsza i powodzi kwiatów wracamy do swego ukochanego taboru i tam zaraz każdego rzuca się na łóżko, by jeszcze padając zasnąć.

Na drugi dzień rano znów wyjazd na front: ekspedycja karna na wioskę, za zniszczenie toru kolejowego. Znów „Smiały” zieje ogniem i za kilkanaście minut, zostawiając za sobą popioły i zgliszcza, powraca.

Codziennie wyjazdy na nasze przedpole i walki, mniejsze lub większe. Po kilku dniach wezwano nas do Osipowicz pod Mińsk, bo na nasze tyły przerwała się kawaleria bolszewicka i zagraża Mińskowi. Tam ulokowaliśmy się w lesie. Pociąg cały ubrany drzewkami, by nie było go widać, czeka, bo doniesiono, że mają przejeżdżać szosa, która przechodzi akurat przez tor kolejowy. Piechota ulokowała się po bokach drogi, w zaroślach kawaleria nasza opodal w lasku czeka, by uderzyć. Wreszcie widać na zakręcie drogi 3 szwadrony. Jadą nie myśląc, że czeka ich tu śmierć. Śpiewają. Komendant musiał coś zauważyć, bo wstrzymał konia i chciał coś krzyknąć. Dowódca panczerki był szybszy. Zawołał: „Ognia” i moja „Maryśka” ze wściekłością wypluwa swój kartacz. Pierwszych kilka trójek leży na ziemi. Na hasło z panczerki piechota i karabiny maszynowe rozpoczynają swe złowrogie szczekanie. Panczerka znów grzmi. I wkrótce cały ich oddział rozprasza się, zostawiając więcej niż połowę na drodze. Za resztkami już gnają nasi ułani. Po pół godzinie wracają prowadząc kilkunastu jeńców. My wracamy znów do Borysowa. Niestety nie na długo, bo za jakiś czas zaczął się ów hańbny odwrót.

Wprawdzie nikt nie myślał oddając Borysów, że jest to początek odwrotu. Jednakże łatwo nie oddaliśmy Borysowa i w ogóle byśmy go nie wydali, gdyby nie rozkaz – cofnąć się. Mieliśmy ostatni wyjechać z miasta i wysadzić most na Berezynie oraz ostrzeliwać miasto. Zaczyna się więc dzieło zniszczenia. Wieże cerkwi i większe domy stają się pastwą zniszczenia. Chociaż artyleria bolszewicka wali do nas, my nie przerywamy ognia, chcemy zemścić się za to, że się cofamy i jak najwięcej zrobić im strat. Miasto już się pali. Przyjemnie tam musiało być mieszkańcom, lecz trudno – wojna. Most już podminowany. Wreszcie, kiedy piechota bolszewicka rzuca się do ataku i leci przez most – huk wściekły jakby sto piorunów i mostu już nie ma ani wojska na nim. A my powoli cofając się i bijąc ze wszystkich dział i karabinów maszynowych odjeżdżamy zegnając Borysów na zawsze.

Każda walka, a raczej ostrzeliwanie panczerki, bardzo źle wpływa na załogę. Odczuwa się zupełną niemoc, nie ma sposobu uchronić się przed tym niebezpieczeństwem. Oddziaływa to ujemnie na psychikę żołnierza, który nie może kierując się instynktem ukryć się, a musi siedzieć i czekać może śmierci oraz słuchać, jak o parę kroków dalej wybucha granat. Również bomby rzucane z aeroplanów wywierają przynębiające wrażenie. Taki wybuch to coś potwornego. W pogodny słoneczny dzień widać, jak bomba leci na ziemię, bo błyszczy na słońcu. Wtedy jest daleko lepiej, a nawet przyjemnie (może to egoizm albo instynkt samozachowawczy), bo widzi się, czy spada na nas, czy nie. Ale na wojnie często jest w użyciu środek uspokajający: trzeba myśleć, że mogą być dwie sytuacje, albo zabijają, albo nie. Jeżeli nie zabijają, to nie ma się czego obawiać, a jeżeli zabijają, to już tym bardziej nie ma się czego obawiać. Przykro, kiedy lotnik widząc piechotę opuszcza się i zaczyna siec z kulomiotu. Wtedy jest duża szansa, że nie ma się czego obawiać.

Raz zśliśmy na patrol z panczerki przez pole i zaczął nas ostrzeliwać lotnik bolszewicki. Przed nami w odległości stu kroków las, więc pędzimy w tym kierunku, by nas lotnik nie zauważył. Ta krótka odległość wydała się dla mnie wówczas kilometrem. Kiedy wpadliśmy do lasu, to kule siekały tak liście jakby ktoś batem trząsał. Z kolei innym razem panczerka zostawiła na przedpolu jeden wagon z armatą, by bronić toru przed uszkodzeniem a sama pojechała naprzód. Zostałem w tym wagonie. Po

pewnym czasie słyszę warkot motoru. Coraz wyraźniej. Widocznie lotnik zauważył mnie i opuszcza się niżej. Żle, myślę. Ruszyć się z miejsca nie mogę, bo lokomotywa pojechała. Czekam, kiedy on się zlituje i prędzej już rzuci tę nieszczęsną bombę, która przy pomocy własnej i jeszcze mojej amunicji, postarają się o jak najszybszy środek lokomocji na tamten świat. Wtem słyszę jęk kulek, odbijających się od pancerza mojego wagonu. Co robić? Wyjście oznaczało pewną śmierć od kul, pozostanie – jeszcze pewniejszą od bomby. Więc czekam. Widzę przerażenie w oczach żołnierzy. Przetrwaliśmy kilka minut słysząc wyraźnie warkot motoru i chichot kul. Wtem – słyszymy huk. Na chwilę przestałem myśleć i zdrtwiałem od naprężenia nerwów przez dłuższy czas. Jedna myśl przemknęła mi przez głowę – żal za życiem. Czekam, kiedy wylecę w powietrze. Minęło kilka sekund, znowu strzał i kilkanaście maszynek zaczyna siekać. Odetchnąłem. To pancerka zobaczyła, że jesteśmy w opałach i wraca na pomoc.

Aeroplan zaczął uciekać i wkrótce znikł za lasem. Wychodziliśmy z siebie myśląc, dlaczego on nie rzucił bomby, aż ktoś powiedział bardzo prosto: bo nie miał. I rzeczywiście, lotnik powracał z wywiadu w głąb naszego terenu i tam wyrzucił wszystkie bomby. Dlatego też nie mógł nic nam zrobić. Jednak napędził stracha.

W tym czasie starałem się o przydział do Wilna i dostałem się do dowództwa 7 Armii do defensywy. Z początku podobała mi się służba, gdyż była ciekawa i męcząca. Zresztą stęskniłem się za Wilnem. Pamiętam, byłem parę razy podczas rozstrzeliwania skazańców. Pewnego razu rozstrzeliwano dwóch komunistów szpiegów i jednego Żyda. Postawiono ich przy słupach i odczytano wyrok. Obaj Rosjanie wysłuchali spokojnie, Żyd zaś zaczął prosić, błagać by mu darowano życie, że jest niewinien, potem krzyczał i groził, wreszcie zaczął płakać i trząsł się na całym ciele. Tamci dwaj żartowali i śmieli się z Żyda mówiąc: „lubisz katatsia – lubi i saneczki wozić”. Kiedy spytano ich o ostatnie życzenie – Żyd znów zaczął błagać o życie. Jeden zaś z komunistów poprosił o pozwolenie mu wypalić papierosa. Oficer dowodzący egzekucją dał mu kilkanaście sztuk z pudełkiem, na to skazaniec rzekł: „Na próżno daje pan mi tyle – a nie da pan czasu, by wypalić”. Pozwolono mu palić, poczęstował on swego kolegę, lecz ten nie wziął, mówiąc, że nie warto już palić. Żyd łapczywie złapał papierosa myśląc, że przyniesie mu ulgę, lecz po chwili rzucił go na ziemię i zaczął znów skomleć. Jeden ze skazańców patrzył na niebo, drugi zaś palił już trzeciego papierosa. Obaj skazani nie przyjęli wcale popa i kiedy ich chciał przekonać – złajali go. Wreszcie oznajmili, że są gotowi i prosili, by im nie zawiązywano oczu. Żydowi naciągnięto worek na głowę i wszystkich przywiązano do słupków rękami. Kiedy padła komenda: „Cel” zauważyłem, że obaj wtedy poddali się naprzód, jakby chcąc by prędzej spotkać kule. Żyd krzyczał wniebogłosy. Wreszcie salwa i trzy trupy osuwają się na ziemię. Doktor stwierdził śmierć.

Niedługo byłem w Wilnie, bo zaczął się odwrót z Wilna. Z naszego kochanego Wilna więc już po raz drugi uciekamy, przykro i smutno znów<sup>12</sup>. Wyszliśmy z miasta koło północy, na szosie każdy z nas zaopatrzył się w konia, bo masa żołnierzy jechała prowadząc luzem po kilka koni. W Landwarowie następnego dnia postanowiliśmy wrócić i w 40 koni pojechaliśmy znów do Wilna. Ludność nas żegnała z płaczem, oddając nam pieniądze i jedzenie. Kiedy już ruszyliśmy, całowali strzemiona. Wreszcie już musieliśmy ostatecznie rozstać się z Wilnem, przyjechaliśmy pod Rudziszki i tam przesiedzieliśmy pół dnia a wreszcie zanocewaliśmy. Było nas 10 ludzi. Spaliśmy całą

12 Odwrót z Wilna był efektem II ofensywy M. Tuchaczewskiego, która rozpoczęła się 4 VII 1920 r. znad rzeki Auty i Berezyny. W traktacie moskiewskim z 12 VII 1920 r. Rosja Radziecka zobowiązywała się zwrócić Wilno Republice Litewskiej. Samo miasto zostało zajęte 14 VII 1920 r. i przekazane litewskiemu rządowi.

noc, rano zaś rozbudzili nas wieśniacy mówiąc, że w nocy dużo wojska bolszewickiego przeszło przez wioskę.

Co było robić? Siedzieliśmy w stodole do wieczora i pod osłoną nocy ruszyliśmy lasami. Jakiś dróżnik kolejowy podjął się nas przeprowadzić przez lasy i do rana udało się nam wreszcie połączyć ze swoimi. Znaleźliśmy kolegów i zrobiono z nas oddział konno-wywiadowczy. Cały odwrót do Warszawy mieliśmy roboty bardzo dużo, bo byliśmy ostatnią strażą naszych wojsk. Do Grodna przybyliśmy już po zerwaniu mostów i kiedy podjechaliśmy do Niemna, straszny widok był przed nami. W rzece pełno wozów, fur koło brzegu, tak że nie można było wjechać do wody. Chcieliśmy szukać lepszego dostępu do rzeki, kiedy zagrały bolszewickie kulomioty i chcąc nie chcąc rzuciliśmy się do rzeki. Kule pluwały po wodzie.

Wieczór. Po drugiej stronie pali się przedmieście, zgiełk, huk, krzyki, jęki – istne piekło. W połowie rzeki koń mój dostał kulą w szyję i zaczął tonąć, ja musiałem chcąc nie chcąc płynąć o własnych siłach, jakoś dopomogli koledzy i dobrałem się do brzegu. Konia znalazłem drugiego, lecz co najważniejsze to było to, że w kaburach miałem cały mój majątek, cały album fotografii z wojny. Byłem zrozpaczony, ale nie mogłem poradzić.

Odwrót był bardzo ciężki. Kiedy wjeżdżaliśmy do wsi, w studniach zamiast wody było błoto, bo cała armia idąc przed nami wypita już. Musieliśmy po lasach brać do kabur mokry mech i zwilżać nim spieczone wargi. W kilku miejscach bolszewicy potrzepali nasz oddział, lecz jakoś w ogóle wiodło się nam szczęśliwie. Przekonałem się, że ludność nawet białoruska, była więcej przychylną, niż ludność rdzennie polskich okolic, to jest Królestwa. Kiedy prosiliśmy u chłopca polskiego coś zjeść lub wypić, to patrząc jak wilk spode łba mówił: „U mnie nie karczma”. Trzeba było nieraz siłą uczyć ich szacunku do munduru, do naszych osób. Jednakże kiedy oni zobaczyli i poczuli bolszewików na własnej skórze, stali się znów bardzo patriotycznie usposobieni. Odwrót był straszny tylko w pierwszej jego połowie, potem był opanowany i odbywał się spokojniej. Jednakże jak to zwykle przy tym bywa, na drogach pozostawały trupy końskie, połamane wozy, a nieraz zmęczony żołnierz siadał na chwilę przy drodze i spał kilkanaście godzin. Jeżeli zauważyliśmy ich, byli ocaleni. Jeżeli nie, dostawali się do niewoli. W drodze padł mi jeszcze jeden koń, którego żałowałem, bo był ładny i silny.

Dojechaliśmy pod Warszawę, tam władawo nas na pociąg i odesłano do stolicy, by powcielać do pułków, zależnie od rodzaju broni każdego z nas. Dowiedziałem się, że jestem przydzielony na kurs oficerów zawodowych artylerii w poznańskiej Szkole Podchorążych. Za parę dni miałem więc wyjechać. Poszedłem pospacerować po Warszawie. Dziwna rzecz – Warszawa moje rodzinne miasto a tak obce dla mnie. Kiedy pierwszy raz w 1919 roku ta sama Warszawa nazwała nas obrońcami Ojczyzny, nawołując do stworzenia nam ogniska, które by zastąpiło nam porzucone przez nas rodziny i pomimo tego my musieliśmy być głodni, zziębnięci i oberwani – trudno czuć za to wdzięczność. I do pewnego stopnia byłem zadowolony, że ta zawsze rozbawiona Warszawa teraz sama drży na widok takich obszarpańców jak my, na odgłos huku dział, na widok rannych. To jedno przykre, że tyłu rannych spotyka się w mieście. Wszystkie szkoły zamieniono na szpitale. Na murach odezwy nawołujące do wstępowania do wojska, obiecujące, że ci, co pójdą, otrzymają za 3 miesiące tę pensję, jaką brali, wszelkie ulgi, obiecano im ziemię, posady itd. Warszawa też umie być „bohaterską”, więc zaczęli się zgłaszać licznie ochotnicy „na miesiąc chłopca dwa, jeden chce służyć w taborze, drugi ot sobie tak”. Dopiero huk dział zmusił ich pomyśleć o swoim

bezpieczeństwie i poszli. W bohaterstwo Warszawy nie uwierzę, to nawet nie słomiany ogień, to wyrachowanie i zupełny brak odrobiny bohaterstwa.

Pojechałem więc do Poznania. Kiedy zbliżałem się do gmachu szkoły, w której miałem się uczyć, zobaczyłem na rozległym polu mrowie ludzi biegających, padających, jadących konno, zataczających działa. Krzyki komendy, trzask strzałów karabinowych i huk dział – to obraz, jaki przedstawił się moim zdumionym i wystraszonym oczom. Więc to szkoła!... W pierwszej chwili chciałem zwać. Sto razy lepiej na froncie. Lecz zostałem.

Od razu stałem się jednym kółkiem tej maszyny. Ileż to razy biegaliśmy, wprost nosem padając na ziemię, a po całodziennych zajęciach i wykładach ledwie mogliśmy wejść na trzecie piętro i to przy pomocy rąk i nóg. Ale za to – mówiono nam – będziesz oficerem zawodowym. W nocy też nie zawsze śpi się spokojnie, bo oficer inspekcyjny wejdzie, zauważy, że „kostka” czyjaś większa od innych lub nierówno złożona, to budzi wszystkich i każe na nowo składać. Niech gwóźdź, któremi są podkute ogromne niemieckie długie buty, nie błyszczy jak słońce, niech będzie na podszwie kruszyna piasku, niech krzywo stoi jeden but, a już robi się piekło. To w nocy. A w dzień od 5 rano do 10 wieczór nie było czasu wypalić papierosa. Kiedy kończy się konna jazda, zaczyna się musztra piesza, ćwiczenia baterią, przy działach, wykłady, znów ćwiczenia i tak ciągle.

Byłem w takim piekle 3 miesiące i kiedy Żeligowski<sup>13</sup> nie uznał zawartego zawieszenia broni, zwolniłem się ze szkoły i to przez komisję lekarską i na łeb na szyję pogałem do Wilna, raczej pod Wilno do Grodzieńskiego Pułku Ułanów, gdzie Władek był dowódcą szwadronu. Przyjechałem pod Rudziszki. Tam znalazłem jego wraz ze szwadronem. Pierwsze dni mojego ułaństwa były ciężkie, lecz prędko wciągnąłem się i pokochałem nową służbę. Władek był zadowolony, że przyjechałem do niego. W szwadronie znalazłem starych znajomych: ppor. Pietraszka, ppor. Zaleskiego, ppor. Sztarka i pchor. Romaszkiewicza.

Ogromne wrażenie wywarła na mnie szarża naszego szwadronu i w ogóle szarża. Jechaliśmy z jednego odcinka frontu na drugi, wzdłuż naszych placówek. Była godzina 7 rano, jesienny pogodny dzień był przed nami. Przyjemnie jest jechać konno przez las. Ptaki śpiewają swe ranne piosenki. Wtem słyhać „hurra” i o 300 kroków przed nami rwie na nas szwadron litewski. Władek woła „rozwinęty wprzód na lewo szwadron klusa marsz”. Trębacz trąbi podniecający sygnał do ataku. „Szabla za-aj”, „Marsz – Marsz” i rwiemy jak wicher na nich – oni na nas. Władek dopada pierwszy, za nim cały szwadron, szalony pęd, wiatr co bije w twarz, ten okrzyk „hurra” i błysk szabel podnieca jak nic na świecie. Co za rozkosz ! Zaczyna się walka na szable, gdzie nigdzie pada strzał, tu słyhać świst szabli, jęk, rżenie, konie wyrwijające bez jeźdźców lub włócząc ich po ziemi, z nogami w strzemiomach. Wreszcie Litwini wieją. Ja zbyt nie ufałem swym zdolnościom fechtunkowym i z rzadka posługiwałem się szablą, woląc rewolwer lub karabinek. Wpadliśmy za nimi do wioski, gdzie nas przywitano ogniem karabinów maszynowych, tak precyzyjnie i skutecznie, że musieliśmy co najprędzej wycofać się. To było trudne do wykonania, gdyż musieliśmy wiać między domami, by uniknąć pewnej czy niepewnej śmierci na ulicy wioski. Na przeszkodzie nam stały parkany i zagrody. Kto miał lepszego konia przesadzał

13 Lucjan Żeligowski (1865-1947). Przed 1918 r. w armii rosyjskiej, następnie dowódca Korpusu Polskiego w Rosji, od lipca 1918 r. dowódca 4 Dywizji Strzelców na Kubaniu. Do Polski powrócił w 1919 r. Z inspiracji J. Piłsudskiego organizator rozpoczętego 9 X 1920 r. „buntu”. Po zajęciu miasta i okreegu wileńskiego proklamował tzw. „Litwę Środkową”, w 1927 r. przeszedł w stan spoczynku, w l. 1935-1938 poseł, po 1939 r. na emigracji.

plot i zmykał, bo nic innego i sam Salomon by nie zrobił. Ja widząc białą „Lalkę” Władka rzucam się w tę stronę. Właśnie Władek przesadzał parkan. Chciałem zawrócić, bo nie wypróbowałem swego konia na przeszkodach, lecz nie było już czasu. Zebrałem się więc w sobie, puściłem wodze i mój „Morus” przesadził parkan i rwie po polu. Gorzej było z tymi ułanami, co byli na gorszych koniach, bo musieli wpierw łamać płoty i dopiero jechać dalej.

Straciliśmy kilku zabitych i rannych, lecz już bez przeszkód i przygód dojechaliśmy do Wilna, tam wypoczęliśmy 1,5 godziny i ruszyliśmy do Mejszagoły jeszcze nie zajętej. Kiedy jechaliśmy ulicą Adama Mickiewicza szedł akurat pochód, który widząc nas jadących na front, urządził nam owację, sypiąc kwiaty i wrzeszcząc: „Niech żyją ułani”. Już tak jest, że widok ułanów podnieca ludność. Miałem możliwość przekonać się o tym nieraz. Kiedyśmy podjeżdżali do Mejszagoły, okazało się, że już parę godzin temu została zajęta, słychać było tylko zaraz za miasteczkiem strzały. Jeździliśmy co dzień na patrole, bo szwadron nasz stał na placówkach, lecz ja, słuchając Władzia zbytnio nie narażałem się, bo głupio było przewojować całą wojnę i pod koniec zginąć.

Akurat przydzielono mnie z plutonem ułanów do grupy generała Baranowskiego<sup>14</sup>, który po zajęciu Podbrzeża szykował się do zdobycia Giedrojc. Dziwny generał ten Baranowski, wsiadł do auta i pojechał każąc mnie z plutonem jechać zaraz za nim. Tak przyjechaliśmy do pierwszych linii. Kule już gwizdały, tym bardziej siedząc na koniach to dobrze czuliśmy. Nie mając rozkazu nie mogłem podać: „Z koni”. Generał wysiadł z karabinem w ręce i poprowadził do ataku żołnierzy, biegnąc kilkanaście kroków. Wreszcie kazał mnie ruszyć z plutonem do pobliskich wiosek i ustalić, gdzie jest nieprzyjaciel. Wzięliśmy tam ze swoim plutonem kilku piechurów litewskich.

Zajęliśmy wieczorem Giedrojcie. Artyleria huczała całą noc, jak nasza tak i litewska, jednakże spałem. W nocy zbudziłem się słysząc, że sufit w chacie, gdzie spałem, trzeszczy i ugina się. Żle – myślę – pewnie granat zniósł dach. Okazało się, że w domu tym mieszkał Żyd ogrodnik i cały strych był pełen jabłek. Żołnierze postanowili podzielić się z nim, a wzięli się to tego tak energicznie, iż obawiałem się, że sufit może się zawalić wraz z żołnierzami i jabłkami na mnie. Poszedłem sam na jabłka.

Wreszcie skończyłem swój pobyt przy generale Baranowskim. Wróciłem do szwadronu Władzia i dostałem rozkaz jechać po coś do Wilna. Wziąłem jednego ułana i pojechałem, pytając o drogę. Na nieszczęście koń mego luzaka rozkuł się i musiał zostać we wsi. Pojechałem więc sam. Kiedy mijąłem jezioro Karwie, nad jego stromym brzegiem spotkała mnie przykra przygoda.

Nie znałem dobrze drogi, jechałem więc przed naszymi i litewskimi placówkami. Te ostatnie widząc, że jadę drogą puszczały mnie, nie pokazując się i chcąc, bym trafił pod ich kulomiot, który stał w pobliżu. Kiedy podjechałem bliżej, zaczęli się do mnie. Ja raptownie zaskoczony nie zorientowałem się w pierwszej chwili, co się dzieje. Lecz „Morus” przeląkł się i skoczył w dół. Przewróciłem się kilka razy z koniem i wreszcie stoczyłem się z góry do samego jeziora. Tam nadbiegli nasi żołnierze, również nie wiedząc, co to może być. Ledwie wgramoliłem się na konia, zresztą tak samo podrapanego i pokaleczonego jak ja.

Jakoś dojechałem do Wilna.

14 Gen. Antoni Baranowski (1854-1922). Przed 1918 r. w armii rosyjskiej. W maju 1919 r. wstąpił ochotniczo do WP. Od 25 IX 1919 r. dowódca 2 Dywizji Litewsko – Białoruskiej. W 1920 r. dowódca grupy operacyjnej i zastępca dowódcy I Korpusu Wojsk Litwy Środkowej. Od stycznia 1921 r. w stanie spoczynku.

Wróciłem wreszcie do szwadronu. Tam zostałem na zebraniu oficerów pułku balotowany i przedstawiony na podchorążego. Zaraz otrzymałem z powodu miesięcznego urlopu jednego oficera szwadron karabinów maszynowych. Z dumą podpisywałem się: D-ca Szwad. K.M. Pułku Ułanów Grodzieńskich. Zaprowadziłem ład jak w szkole podchorążych, aż żołnierze szemrali. Miałem i trochę przykrości, lecz jakoś szczęśliwie minęło.

Wreszcie na wiosnę 1921 roku zwolniłem się z wojska, by skończyć kursy maturalne. Jakoś jednak nie brałem się ostro do nauki i nic z tego nie wyszło. Zaczęły się zabawy, hulatyki z Władziem. Gdzież było się uczyć?

Tak zakończyłem wojnę od 1918 do 1921 roku, wynosząc z niej guzy i wyrobiony charakter i nic poza tym. Jednakże wojna dała mi dużo dobrych chwil.

*Wilno, czerwiec 1922 r.*

#### INFORMACJA O AUTORZE

**Jarosław Kurczyn** urodził się 25 kwietnia 1900 r. w Warszawie, jako syn Zygmunta (właściciela ziemskiego) i Marii. Młodość spędził w Wilnie. W 1918 roku wstąpił do POW w Wilnie. Uczestniczył w obronie miasta w stopniu szeregowca w 4 Baonie Samochodowym (28 XII 1918 – 5 I 1919). Po zajęciu miasta przez Armię Czerwoną przedostał się przez linię frontu do Łap. W Ostrowi wcielony do Dywizji Litewsko – Białoruskiej, do Mińskiego Pułku Strzelców (9 I 1919 – 16 VIII 1919). Jako małoletni skierowany do Warszawy, gdzie ukończył 6 klasę szkoły realnej RGO. Następnie skierowany na front. Uczestnik walk o Mińsk, Nieśwież, Kleck, Słuck. Rozkazem z 17 VIII 1919 roku awansowany na plutonowego. Skierowany do Szkoły Podchorążych Saperów i Wojsk Technicznych w Warszawie. Zrezygnował jednak i uzyskał przydział do pociągu pancernego „Śmiały” z dn. 28 VIII 1919 roku. Skierowany do artylerii załogi, po kursie został komendantem dział. Walczył na linii Bobrujsk – Ratmirowicze. Wiosną 1920 roku przerzucony do Borysowa. Podczas walk został ranny, leczyl się przez miesiąc. Z dniem 1 VI 1920 roku przeniesiony do II Oddziału 7 Armii. 16 VI t.r. awansowany na wachmistrza. Uczestniczył w akcji osłaniającej odwrót wojsk polskich z Wilna, przez Niemen, Grodno do Warszawy. Z Warszawy skierowany na kurs oficerów zawodowych do Szkoły Podchorążych Artylerii w Poznaniu (1 VIII – 3 X 1920). Zwolniony z powodu stanu zdrowia, po „buncie” gen. L. Żeligowskiego udał się do Wilna. Tam zaciągnął się do 2 szwadronu 23 Grodzieńskiego Pułku Ułanów, w którym służył do 1 III 1921. W październiku 1920 mianowany podchorążym, 1 III 1921 przeniesiony do rezerwy, 1 VII 1925 otrzymał nominację na podporucznika rezerwy. W okresie międzywojennym był urzędnikiem Magistratu w Wilnie, pełnił m.in. funkcję kierownika działu handlowego. 16 IX 1931 roku odznaczony Krzyżem Niepodległości. Zmarł 3 II 1935 roku w Wilnie.

*opracowała Irena Kępa*